Rok III. Lwów — czerwiec 1901. Nr. 6.

Promień

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM MŁODZIEŻY SZKOLNEJ

Wychodzi raz w miesiącu.

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie K. 3.20, z przesyłką 3.68; kwartalnie 80 h., z przesyłką 92 h. — Numer pojedynczy 30 h., na prowincyi 32 h. — W zaborze pruskim i w Niemczech rocznie 3 marki 40 fen. — W innych krajach należących do związku pocztowego, rocznie 4 franki 20 centimów.

Adres Redakcyi: Lwów, ul. Sapiehy l. 15.

Filia Administracyi: Kraków, ul. Batorego l. 23, III. piętro.

„Młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały.“ *Krasiński.*

Na Zjazd!

KOLEDZY! Kto skończył tego roku szkoły średnie, kto zwlókł ze siebie mundur, ową skórę zewnętrzną uczniów szkół średnich austryackich, niech spieszy na Zjazd do Krakowa. Tam, w starej stolicy Piastów, zjedzie się młodzież polska, dla której świętością jest niepodległość, świętością wyzwolenie z wszelkich pęt ludu polskiego, młodzież ruska, ślubująca dusze i życie swoje oddać matce Rusi-Ukrainie i sprawie wolności ludu ruskiego.

Zjadą się zaś Polacy i Rusini maturzyści na ucztę, gdzie nie będzie zastawy z wina i potraw wybornych, ale gdzie się serca otworzą uczuciem, młoda krew zakipi żądzą czynu, a mózgi nakreślą ideową robotę na lata całe.

Chcą z nas mieć jedynie przyszłe woły robocze... w biurach, leniwe lecz pokornie pod bat grzbiet układające i uległe.

Chcą z nas mieć filistrów-wąskożyciowców, którym za pracę starczy codzienny odrobek biurowy, za ideję słomiany chochoł „kilku narodowo się bałamucących" frazesów, a za pracę obywatelską należenie do kasyna urzędniczego.

Tak nie może być.

Nie może być, abyśmy dusze nasze, życie całe zamknęli w ciasnem podwórku osobistego interesu. Nie może być, abyśmy my młodzież byli głusi na krzyk: „Światła, wolności, niepodległości i chleba", dobywający się z piersi ludu, nie może być, abyśmy byli ślepi na grozę położenia społeczeństwa naszego, a milczeli na wszystko, co się dzieje i co się źle dzieje.

Społeczeństwo nasze wymaga serc ofiarnych, głów rozumnych i wykształconych i ciał zdrowych, silnych i gotowych w każdej chwili do czynu, gotowych nietylko „wytężać słuch" i czekać hasła złotego rogu Wernyhory, ale ze siebie, z wczorajszej i dzisiejszej Polski wysnuć czerwoną nić idei... i walki o ziszczenie tej idei.

Koledzy, Druhowie! Trzeba, żeby się w naszych głowach pomieściła i nauka ścisła ksiąg poważnych i dzieje naszego narodu, czy w szczęściu i potędze, czy też w sromocie, niewoli i upodleniu, i pragnienia nieziszczone wciąż wolności i chleba dla ciała i dla duszy ludu. Trzeba, żeby serca nasze objęły w sobie jak największy, najpotężniejszy obszar przeszłego, teraźniejszego i przyszłego życia narodu, we wszystkich dziedzinach i we wszystkich objawach.

Tak prawda, program powyższy, to nie program jakiejkolwiekbądź partyi, prawda, że główka filistra popękałaby na skorupki, gdyby mu kazano w jego móżdżku ptasim i w jego rybiem sercu pomieścić dziesiątą część tych olbrzymich pragnień. Lecz my jesteśmy młodzi, nam wolno nakreślić robotę, zaniedbaną przez pięć przeszłych pokoleń, nasze mózgi młode i sprężyste mięśnie i gorące serca stać na wyrobienie w sobie wiedzy, charakteru i uczucia — słowem na to, czego spróchniałe kości i zjełczałe mózgi zdobyć w życiu już nie potrafią.

Lecz trzeba, byśmy zestrzelili myśli w jedno ognisko i jedno ognisko ducha, konieczne jest, byśmy się zjechali, by się zbliżyły dusze i serca i w ten sposób ożywiwszy siebie, odrodzili braci i kolegów naszych w obywatelskich uczuciach

i żądzy czynu. Naradzimy się, co począć ze sobą i z narodem naszym i jak „poruszyć z posad bryłę świata i na nowe pchnąć ją tory.“

Trzeba więc nam młodzieży polskiej i ruskiej, tym, którzy już po raz ostatni wyszli za wrota dzisiejszej szkoły średniej austryackiej, zjechać się razem i naradzić nad sobą i nad narodem własnym i nad tem, czem my nowozaciężni mamy być w służbie narodowej przez życie całe.

Dlatego więc:

Na Zjazd — na Zjazd!

ZAŁOŻENIE ZWIĄZKU TOWARZYSTW KSZTAŁCĄCEJ SIĘ MŁODZIEŻY W AUSTRYI.

Zawodowi przeciwnicy narodu polskiego, np. szowiniści niemieccy, odmawiają nam wszelkich zdolności organizacyjnych, uważając tę cechę charakteru za swój wyłączny przywilej. I u nas dość rozpowszechnione jest zdanie, że gdzie kilku Polaków się zejdzie, tam tylko kłótnie mogą powstać, a wszelka łączność będzie nietrwała. Tymczasem fakt (jeżeli je czerpać nie z jednej tylko miejscowości, ale z ogółu stosunków naszych) mówią coś wręcz przeciwnego. Nie możemy się oczywiście chlubić tyloma setkami tysięcy stowarzyszeń, co Niemcy, ale bo też i warunki polityczne, wśród których działamy, zupełnie są różne. Wogóle zaś Polacy organizują się łatwo, a dążność do wytwarzania wielkich skupień, federacyi, obejmujących całe szeregi grup jednolitych, istnieje u nas bezsprzecznie w daleko wyższym stopniu, niż u wielu innych zawodów. Jeżeli porównamy np, organizacye młodzieży polskiej zagranicą, polską partyę socyalistyczną; choćby nawet stronnictwo narodowo-demokratyczne, — z odpowiedniemi instytucyami u Rosyan, to w oczy rzucać się będzie wyższość organizacyjna urządzeń polskich.

Nic też dziwnego, że myśl, rzucona przed paru zaledwo miesiącami, utworzenia związku stowarzyszeń kształcącej się

młodzieży polskiej w Austryi, przyjęta została bardzo przychylnie. Na zjazd konstytujący, który odbył się w Krakowie d. 6 i 7 czerwca, zebrało się pięćdziesięciu sześciu delegatów, reprezentujących 21 towarzystw z 2489 członkami. Jeżeli zatem nie będzie jakich wewnętrznych przyczyn które by tamowały rozwój związku, to ma on zapewnioną przyszłość.

Jeżeli ich nie będzie!... Ale żeby ich nie było, trzeba przedewszystkiem wyraźnie mówić sobie w oczy, czego się od podobnego związku żąda i czego się można po nim spodziewać

Zacznijmy zatem. Otóż przedewszystkiem uderzyła nas atmosfera która panowała na zjeździe krakowskim. Znane nam są np. dawniejsze zjazdy „Zjednoczenia towarzystw młodzieży polskiej zagranicą“. Jakie tam panowało koleżeństwo i jakie z tego powodu ożywienie! Zjazd zaczynał się zwykle od wspólnej Wilii (odbywał się zawsze podczas Bożego Narodzenia), do obiadów zasiadali wszyscy razem, wieczorem urządzano zabawy, a wszystko kończyło się zwykle balem z odpowiedniemi mówkami, toastami i t. p. To też rozjeżdżano się z wrażeniami, które pozostawały na całe życie. I nie trzeba myśleć, że zjazdy te składały się z ludzi o jednolitych przekonaniach i poglądach na świat. Bynajmiej, — ścierano się nieraz bardzo ostro, ale po każdem posiedzeniu zwycięzcy i pobici, czy byli to socyaliści, czy narodowi demokraci, czy ludzie o przekonaniach zupełnie umiarkowanych, brali się zgodnie pod pachę i zapominali swe urazy przy szklance piwa lub czarnej kawie. Tolerancya, poszanowanie cudzych przekonań i głębokie przeświadczenia, że w organizacyi młodzieży miejsce być powinno dla każdego byle uczciwego człowieka, — to były talizmany, które łączyły wszelkie przeciwieństwa.

Jakże inaczej wyglądał zjazd krakowski! Robił on wrażenie zbiorowiska ludzi, obcych sobie zupełnie i liczących się wyłącznie ze zdaniem swych najbliższych przyjaciół. Na każdym kroku dawało się zauważyć, że z góry ukartowane jest nadanie przyszłemu Związkowi pewnego specyficznego charakteru, a ci wszyscy, którzy sprzeciwiali się w czemkolwiek organizatorom, albo byli im tylko podejrzani, traktowani byli jak intruzy. Przejawiało się to nie tylko w braku jakiegokolwiek zapewnienia przyjezdnym noclegów, udzielania im

wskazówek co do obiadów itp., ale i w trwożliwem zapytywaniu ich o wnioski, które zamierzają postawić, a następnie w uporczywem odrzucaniu wszelkich ich poprawek przynajmniej podczas pierwszych posiedzeń zjazdu.

W pewnym stopniu przyczynił się do tego zapewne fakt, iż większość delegatów nie znała się nigdy ze sobą, ale głównym szkopułem była podejrzliwość organizatorów zjazdu, ich brak tolerancyi i wyraźna niechęć do wszystkich tych, którzy nie należeli do ich kapliczki.

Otóż zdaniem naszem organizacya, której zadaniem jest zjednoczenie całej młodzieży, może się rozwijać i odpowie swemu przeznaczeniu tylko w takim razie, jeżeli obejmie ona całą młodzież i jeżeli nie będzie nosiła żadnego partyjnego piętna. Młodzież nasza nie jest i nie będzie zapewne jeszcze przez długi przeciąg czasu ani socyalistyczna ani narodowo-demokratyczna, ani liberalna, ani konserwatywna i wykluczenie którejkolwiek z tych kategoryi odbije się napewne niekorzystnie na przyszłym związku. Zwalczajmy jak najenergiczniej serwilizm karyerowiczowstwo, brak etyki osobistej, ale przekonania tolerujmy, choćbyśmy ich nie podzielali. Ugodowcy i trójlojaliści wszelkiego rodzaju, o ile mają odwagę wypowiadać głośno swe poglądy, sami od nas odpadną więc nie potrzebujemy zastrzegać się specyalnie przeciwko nim.

Nie chcielibyśmy, by nas źle zrozumiano. Nikt nas chyba o to nie będzie podejrzywał, byśmy potępiali propagowanie zasad wśród młodzieży, i to przy każdej sposobności, a więc i w łonie związku. Przeciwnie jesteśmy tego zdania, iż jeżeli kto mocno wierzy w dany program, to musi starać się o przybranie zwolenników. I właśnie to ścieranie się różnych opinii wśród młodzieży stanowi najlepszy środek przygotowawczy dla póżniejszej działalności publicznej.

Rozpisaliśmy się tak szeroko o tej kwestyi, gdyż uważamy ją za jedną z najważniejszych. Rozstrzygnięcie jej w ten lub inny sposób wpłynie w każdym razie bardzo poważnie na przyszły charakter związku, przynajmniej w ciągu pierwszych lat jego istnienia.

Przejdżmy do szczegółów zjazdu.

Incyatywa założenia Związku wyszła z lwowskiej Czytelni Akademickiej, a głównymi organizatorami byli koledzy

M. i P. Kto zna tych ludzi, kto przypomina sobie ich namiętne sprzeciwianie się uchwaleniu nagany dla Koła polskiego za jego zachowanie się w sprawie gimnazyum cieszyńskiego, ich nietaktowne wycieczki przeciwko kolegom Rusinom, którzy przyszli demonstrować razem z nami z okazyi egoż gimnazyum cieszyńskiego itp., ten z góry mógł przewidzieć jaki charakter będzie nosił projekt statutu Związku. Rzeczywiście też zawiera on liczne wady.

Przedewszystkiem cele Związku są tam zakreślone zbyt szeroko po prostu utopijnie. Projektodawcy wymieniają tam udzielanie wyjaśnień i wskazówek co do warunków przyjęcia, programu nauk etc. w zakładach naukowych, czynną pomoc dla pracujących na polu naukowem i artystycznem, sporządzanie odpisów potrzebnych dokumentów, ogłaszanie konkursów wokalno-muzykalnych i t. p. i mnóstwo innych rzeczy. Otóż przecież mowy być o tem nie może, by Związek, który bądź co bądź będzie rozporządzał dość szczupłymi funduszami, — mógł to wszystko wykonać. Konkursów mamy i tak aż zanadto, stypendjów w Galicyi nie brak (są tylko często niesprawiedliwie rozdawane), a na popisy brak nam czasu. Zdaniem naszem Związek będzie miał przed sobą przedewszystkiem następujące zadania:

1) Wytworzenie łączności wśród młodzieży. Do tego celu będą istniały zjazdy oraz wymiana zdań wśród towarzystw.

2) Wydawanie takich prac, których potrzebę młodzież odczuwa, a które ani przez ciała naukowe istniejące, ani przez firmy wydawnicze nie są podejmowane. Wydanie dzieł informacyjnych (np. przewodnika po wyższych zakładach naukowych) i porządnej statystyki różnych przejawów życia studenckiego.

3) Zdobywanie sobie wpływu na różne sprawy ogół młodzieży obchodzące, przedewszystkiem na rozdawnictwa stypendjów.

Jeśli na tych polach choć krok naprzód zrobimy będzie to miało więcej znaczenia od dziesięciu popisów sportowych i wokalnych lub od wydania paru monografijek historycznych czy prawnych.

Naturalnie, iż w tej sprawie nie rozstrzygnie sposób, w jaki zostaną sformułowane w statucie cele Związku, ale

samo życie, skład Związku i jego zarządu. Dlatego nie dziwimy się wcale, iż o celach nie dyskutowano wiele w Krakowie.

Rozprawy i to ożywione, tyczyły się paru innych punktów. Więc przedewszystkiem szło o zarząd Związku. Projektodawcy chcieli oprócz członków towarzystw kształcącej się młodzieży wprowadzić jeszcze jedną kategoryę członków wspierających, t. j. różnych filantropów, którzyby dawali zapomogi Związkowi. Byłoby to rzeczą w najwyższym stopniu szkodliwą. Przedewszystkiem jeżeli Związek będzie się normalnie rozwijał, to znajdzie on, licząc już dziś półtrzecia tysiąca członków, środki dostateczne i nie będzie potrzebował jałmużny. Powtóre liczenie się z tymi członkami wspierającymi, obawa utraty ich wkładek w razie powzięcia jakiejś uchwały, któraby może nie odpowiadała ich poglądom, krępowałyby Związek na każdym kroku i czyniłyby go zależnym od obcych mu elementów. Większość zjazdu uchwaliła jednak zachowanie członków wspierających z tem ograniczeniem, iż mogą oni być przyjmowani tylko przez zjazd, nie przez zarząd.

Drugą kwestyą sporną było przyjmowanie towarzystw do Związku. Według projektu statutu przyjmuje towarzystwa zarząd, który może odmówić jeżeli „uważa dotychczasową działalność towarzystwa za sprzeczną z celami Związku, albo za szkodliwą pod względem etycznym lub narodowym“. Otóż druga połowa tego postanowienia jest stanowczo zbyteczna, gdyż zawiera się już w pierwszej; jest ona dalej szkodliwą otwiera bowiem drogę do niesłychanej dowolności i może być w rozmaity sposób interpretowaną. Rzeczywiście, kogo u nas nie piętnowano pod nazwą „antynarodowca“ i kogo się nie piętnuje nawet dziś, choćby był najzagorzalszym zwolennikiem niepodległości! Wymowa różnych „narodowo“ nastrojonych mowców, którzy zapewniali, że przecież nikt nie odważy się nadużywać tego paragrafu dla celów partyjnych, wpłynęła na jego przyjęcie, powinniśmy być zatem przygotowani żeby, w razie najmniejszego nadużycia, wystąpić z całą stanowczością.

Inne kwestye były natury mniej zasadniczej, ale miały też swoje znaczenie dla moralnego funkcyonowania Związku. Np. statut dzielił majątek Związku na kapitał zakładowy

i obrotowy, z których pierwszy nigdy, pod żadnym pozorem i i przez nikogo (ani przez zarząd, ani przez zjazd) nie mógł być naruszony. Postanowienie takie nie miałoby najmniejszego sensu i słynny Skarb Narodowy, który leży i czeka niewiadomo na co, podczas gdy życie nasuwa wciąż tysiące potrzeb, był jeno cudem logiki w porównaniu z tem, gdyż w każdym razie przewidywał możność wydania pieniędzy w razie powstania. Tu udało się, pomimo zaciętej obrony projektodawców, wpłynąć na zmianę w tym duchu, że zjazd rozstrzyga o użyciu kapitału zarówno obrotowego, jak i zakładowego.

Ostatecznie organizacya Związku będzie następująca: oddzielne towarzystwa przyjmowane są przez zarząd (z apelacyą do zjazdu), w roku zbiera się zjazd (delegaci są wysłani w stosunku 1 na 50 członków), który stanowi najwyższą władzę. Zjazd wybiera zarząd z 9 osób, oraz komisye dla poszczególnych czynności. Jako siedzibę przyszłego zarządu wyznaczono Lwów.

Dziś Związek jeszcze nie funkcyonuje, gdyż statuty jego muszą być wprzód zatwierdzone przez Namiestnictwo. Gdy to nastąpi, zbierze się nowy zjazd (znowu w Krakowie), który obierze zarząd, ustanowi wysokość wkładek, nakreśli plan działalności na rok przyszły i t. p. Oficyalna nazwa federacyi brzmi: „Ogniwo, związek towarzystw kształcącej się młodzieży polskiej w Austryi“.

Pomimo wszystkich słów statutu Związku, załatwienie jego należy powitać z radością. Dlatego też, choć wiemy z góry, że elementy szczerze postępowe będą w nim stanowiły nieznaczną mniejszość, zachęcamy wszystkich kolegów do nieusuwania się od tej instytucyi.

DĄŻENIA SPOŁECZNE I NARODOWE RUSINÓW.

Każdy naród ma prawo do samoistnego bytu i rozwoju. Jak zbrodnią jest wypaczać lub niszczyć naturalny rozwój jednostki, tak zbrodnią jest uciskiem i tyranią tamować bieg życia całego narodu. Historya pouczyła nas, że ucisk narodo-

wościowy nigdy nie zapewniał zdobywcy lub tyranom trwałego powodzenia.

Im większy był ucisk, tem głębsza nienawiść uciskanego, tem szybciej zbliżała się godzina odwetu. Tamowany strumień życia narodu szukał sobie tajemnych skrytek i łożysk, aż wreszcie, nabrawszy w podziemiach dość sił, rozrywał z hukiem twardą powłokę ucisku, szerząc strasznym wylewem śmierć i zniszczenie.

Nie potrzeba sięgać daleko w przeszłość, wystarczy wskazać na rozszalałą burzę narodowościową, jaka święciła swe orgie przed naszemi oczami w parlamencie austryackim. Wystarczy przypomnieć, jak chwiała się w swych podstawach stara Austrya, skoro Niemiec Wolf, w którym zestrzeliły się promienie wszystkich ideałów szowinizmu niemieckiego, rozpoczął szalone tany furyata z młodoczeskimi Heroldami. Przez trzy lata tych wzajemnych sporów panował zupełny zastój w ustawodawstwie; wszystkie sesye parlamentarne spełzły na niczem, pozycyj budżetu nawet nie mogli roztrząsnąć posłowie, nagi absolutyzm bez figowego listka wkraczał śmiało w progi Cislitawii.

Gdzież szukać źródła tej szalonej burzy? czyż nie w strasznym ucisku, jakiego doznawali Czesi przez wieki całe, deptani od klęski pod Białą Górą brutalną stopą rozpanoszonych Teutonów.

Nietolerackie ataki Młodoczechów, to finał, to tylko kontrapara porosłych w pióra, wzbogaconych dawnych „Bemaków". Gwałt odcisnął się gwałtem. I ta Nemezis historyczna mści się na każdym gnębicielu, czerwona nitka ciągnie się przez całą długą historyę narodów. Dnia obrachunku ze swoimi trój-tyranami, trój-wrogami, czekają Polacy.

Jednym zaś z najbardziej uciskanych, najbardziej biednych narodów na kuli ziemskiej jest naród ruski. Należy on liczebnie do największych narodów słowiańskich, liczy bowiem razem około 27 milionów mieszkańców, siedziba jego jest prawie w samem sercu Europy. A jednak Europa dzisiejsza, cywilizowana Europa z całym aparatem cywilizacyi o tej olbrzymiej masie narodu zaledwo słabe posiada wiadomości.

O ruskim ludzie dochodzą do pism zagranicznych słabe wieści chyba dzięki agentom emigracyjnym, lub też czasem,

kiedy zdeptany, zgnieciony brutalną stopą Badenich, wysyła ten naród deputacyę przed biały dwór cesarski z rozdzierającą serce skargą. I na tem zamykają się drzwi Europy przed tym narodem proletaryatu, mużyk ruski znika z międzynarodowej widowni politycznej, by z tęskną pieśnią na ustach za marny grosz zraszać znojnym potem obszerne łany Dzieduszyckich i Tyszkowskich.

Historya tego narodu to jedna martyrologia, to długa serya utrapień i umęczeń. Ani jednej świetlanej chwili historycznej, ani jednego wspomnienia, na które z dumą możnaby wskazać, ani jednego momentu, na którym znużone oko narodu mogłoby spocząć. Od wieków same upokorzenia, dźwięki kajdan niewoli to jedyna muzyka, która ciągle przygrywała temu narodowi. I tylko od jednej setki lat do drugiej zmieniali się dozorcy, którzy temu ludowi kajdany nakładali.

Przyjrzyjmy się pokrótce tym etapom, po których gnębiony naród znaczył swe znużone kroki.

Początkowo w XI. wieku rozpoczęła Ruś swój żywot polityczny pod panowaniem ruskich książąt, którzy prowadzili pomiędzy sobą ustawiczne walki. Lecz samoistność ta skończyła się wkrótce, albowiem na Ruś napadła horda tatarska, wyniszczyła ruskie osady, puściła z dymem gospodarstwa, a lud pognała w jasyr. Od tej chwili aż do czasów dzisiejszych Ruś nie zaznała swobody, przerzucano ją jakby piłką z jednej niewoli w drugą.

I tak w następnych wiekach dostała się pod rządy polskiej szlachty. W XVI. wieku podnosi Chmielnicki straszliwy bunt, który obejmuje całą Ukrainę.

Bunt jednak kończy się klęską ukraińskiego ludu; Chmielnicki oddaje się na łaskę carowi rosyjskiemu, część zaś Ukrainy pozostaje przy Polsce. Ruś znosi od tego czasu panowanie Rosyi i Polski.

Wreszcie podczas rozbioru Polski dostaje się część Rusi pod panowanie austryackie i, jako część składowa tegoż mocarstwa, pozostaje aż do chwili obecnej, dzieląc dolę i niedolę tego państwa.

Po wiedeńskiej rewolucyi otrzymali również Rusini konstytucyjną swobodę, jakkolwiek ciemny chłop galicyjski był w 48. roku gasicielem rewolucyjnego ruchu, jakkolwiek żoł-

nierz ruski zatapiał bagnet w tchnącej zapałem piersi niemieckiego mieszczaństwa. Dobrodziejstwa konstytucyi nie minęły go jednak. Otrzymał wraz z innymi prawo do rozwoju, zdjęto zeń kajdany pańszczyźnianej niewoli.

Od tej doby zajmiemy się nieco szerzej życiem kulturalnem Rusinów, zaznaczając, iż na Ukrainie pod zaborem rosyjskim niewola ukraińskiego ludu doszła do tak dalekich krańców, iż nawet samo używanie tego języka w piśmie, karanem jest surowo przez rząd rosyjski. Każdy więc osądzi, w jak niesłychanie ciężkich warunkach żyje pod rządem rosyjskim ten nieszczęsny naród i że chybą tylko jakiejś passywnej odporności ukraińskiego ludu zawdzięczyć należy, iż zachował swój odrębny charakter, swoją ukraińską mowę, iż nie uległ wynarodowieniu.

O rosyjskiej Ukrainie mówić więcej nie będziemy; wystarczy tylko powtórzyć za Szewczenką, iż tam „neprawda i newola, narod zakowanyj mowczyt.“

Przenieśmy swój wzrok na Ruś halicką i przejdźmy pokrótce wszystkje fazy jej pokonstytucyjnego życia politycznego i zbadajmy jej ekonomiczną pozycyę. W roku 48. — w owym roku wiosny, kiedy huragan rewolucyi przeszedł wszystkie kraje cywilizowane Europy i na widownię publiczną wyrzucił tyle szlachetnych jednostek, pełnych zapału — Rusini galicyjscy spali snem twardym, zmrożeni lodowatą powłoką niewoli i ciemnoty.

Część składową ruskiego narodu tworzyły wówczas dwie warstwy: warstwa pańszczyźnianych chłopów i nieco inteligentniejsza warstwa popów.

Wszystko, co było bogatsze, cała dawna szlachta ruska, bojarowie i kniaziowie, wszystko to wyrzekło się swego pochodzenia, szukając u innych, szczęśliwszych narodów dla siebie odpowiedniego wzięcia i miru.

Konstytucya tedy zastała na Rusi tylko pańszczyźnianych chłopów i księży. Śmiało rzec można, iż ówczesny chłop ruski, gruntowny analfabeta, trzymany z dala od wszelkiej myśli społecznej, wyszydzany na każdym kroku i karmiony batogami posiepaków, że ten chłop nie rozumiał, nie znał potrzeby konstytucyi.

Jedyną ulgą dla niego było zniesienie pańszczyzny, zwolnienie go od nieludzkiej opieki dziedzica. Co to jest konstytucya, jakie znaczenie posiada ów epokowy przewrót społeczny, dla niego była to „tabula rasa". On dobrodziejstwo konstytucyi odczuł w ten sposób, iż musiał od tego czasu jako „wolny obywatel" opłacać szalone daniny publiczne.

Kroniki społeczne i późniejsze wspomnienia historyczne charakteryzują nam pierwszych chłopskich deputatów do rajchsratu. Wspominają one, iż chłopi ówcześni, nie znając swego posłannictwa, nosili za swymi kolegami z parlamentu kuferki, że całowali po rękach każdego Wiedeńczyka i składali mu najniższe ukłony, sądząc, iż to musi być albo „jasnyj pan", albo pan ekonom, albo „jasna panienka".

Wobec takiego poziomu umysłowego u naszych najprzedniejszych chłopów zrozumiałem jest, dlaczego dziedzice polscy pozajmowali wszystkie chłopskie krzesła poselskie, dlaczego zwalili na chłopów brzemię wszelkich podatków gruntowych, wszelkich t. zw. konkurencyj na szkoły, na probostwa, dlaczego oszukali ich w haniebny sposób przy procesach o lasy i pastwiska, przy oszacowaniu stopy podatkowej (katastru gruntowego), dlaczego wreszcie tak przeszachrowali sprawę wykupna propinacyi.

Mając obraz socyalnego położenia chłopa ruskiego mamy zwierciadło ekonomicznego bytu całego narodu. Chłopi bowiem stanowili w 1848 r. 95 proc. całej ludności ruskiej. Pozostała tylko garstka popów, która jako „świadoma" więcej masa, ujęła w swe ręce ster organizacyi politycznej i stanęła na najwyższym szczeblu jej politycznego życia.

Jasnem jest, że z takim przodownikiem, jakim byli popi, polityczna działalność Rusi musiała bardzo chromać.

(C. d. n.)

ECHA.

Rozpasała się wściekłość teutońska. Karty martyrologii polskiej pod zaborem pruskim poczynają się zapisywać. Początek dały dzieci. We Wrześni od marca bieżącego roku katowano dzieci szkolne za to, że nie chciały uczyć się religii w języku

niemieckim. Opór był stanowczy: dzieci nie chciały uczyć się w domu, ani odpowiadać na pytania w klasie. Za opór wyprowadzano jedno po drugiem do innej klasy i bito trzcinami, — zarówno chłopców, jak i dziewczęta. Dzieci w ten sposób walczyły przez całe tygodnie. Dopiero zbiegowisko wywołane krzykiem i płaczem wychodzących ze szkoły uczniów, interwencye policyi, niepokój w mieście, — sprawiły, że nauczycieli zaniechali pytań z religii w języku niemieckim.

Brutalność i okrucieństwo prusaków jest znana: tacy sami są oni w Kamerunie, jak i w ks. Poznańskiem. Tylko że za dręczonymi murzynami wstawią się i upomną w parlamencie i katolicy i protestanci i konserwatyści i socyaliści, — a za smaganemi dziećmi polskiemi — kto się upomni?..

Kiedy Bismark w 1851 r. przybył do Berlina, zastał tam dwa wielkie stronnictwa wzajem się zwalczające. Jedno z nich wywiesiło hasło: »durch Freiheit zur Einheit!«: wolność, konstytucya na szerokich swobodach oparta, obalenie przywilejów dadzą trwałą podstawę, na której jedność narodu niemieckiego może być ugruntowaną. Drudzy twierdzili odwrotnie: »durch Einheit zur Freiheit« (przez jedność do wolności); wprzód zjednoczmy się, utwórzmy wielką rzeszę niemiecką, o potem pomyślmy o wewnętrznych reformach. Bismark zaś przekonany że »zasady przeszkadzają« powiedział sobie i innym: »durch Schwert und Blut zur Freiheit und Einheit« (przez żelazo i krew do wolności i jedności). Dziś hakatyzm — spadkobierca bismarkowskich ideałów, w obawie o jedność państwa pruskiego, zamienił miecz na trzcinę i do krwi smaga nią ciała polskich dzieci.

Ale oto moralna siła dzieci zwyciężyła. Taka Bronisława Szmidowiczówna — zbita — odmawia przyjęcia katechizmu niemieckiego, i w końcu, w swej naiwności świętej... przez fartuszek bierze do rąk książkę!

Podobnie zwycięzką walkę stoczyła przed kilku laty młodzież szkół gimnazyalnych pod zaborem rosyjskim w Mitawie, Libawie, Rewlu i Rydze. I tam usiłowano wprowadzić modlitwę, przed nauką i po nauce, w języku rosyjskim, wspólnie dla katolików i prawosławnych. Stało się atoli inaczej. Młodzież gremialnie opuściła sale i została relegowaną. Następnie musiano zamknąć gimnazya, gdzie Polacy-katolicy stanowili znaczną większość ogólnej liczby uczniów.

Tak jednozgodny opór wywołał cofnięcie rozporządzenia z tą zmianą, że odtąd katolicy mieli odmawiać modlitwę osobno z księdzem i po łacinie.

Tak w Rosyi i Prusach. A u nas? U nas przed kilku dniami odbywały się wybory do Rady powiatowej w Białej i wybrano na 26 członków 12 niemców, — na wiceprezesa zaciekłego wroga polaków Lucasa i to przy pomocy kilku głosów polskich. A prezes i c. k. starosta »urzędowali« także w języku niemieckim!

U nas rodzice dobrowolnie posyłają dzieci swoje do szkoły niemieckiej, do klasztoru żeńskiego w Cieszynie, na pobyt w internacie w ciągu kilku lat, do gimnazyów niemieckich we Lwowie i Brodach!

U nas c. k. inspektor szkolny okręgowy pytając dzieci w czasie wizytacyi »z dziejów kraju rodzinnego« każe opowiadać o.... Maryi-Teresie!

U nas »Czas« wystąpił w obronie redaktora »Kraju« Piltza, piętnowanego powszechnie za wydanie memoryału, a sam Piltz w parę dni później zaprzeczając autentyczności memoryału, pośrednio dowiódł, że się tego wstydzi, wstydzi się tego — co »Czas« pochwalił i uznał za rzecz rozumu politycznego!

U nas — arcybiskup Hryniewiecki gorący patryota i obrońca języka polskiego w dodatkowem nabożeństwie kościelnem pod zaborem rosyjskiem — jest zaledwie tolerowanym. (Ciekawy fakt: dzięki staraniom magnateryi arcybiskupowi Hryniewieckiemu przez długi czas odmawiano obywatelstwa austryackiego, pod tym pretekstem iż nie posiada on stałych dochodów! Dopiero pensya papieska usunęła ten szkopuł. — Przyp. red.)

U nas.. Lecz pocóż mnożyć przykłady? Jest jednak w tem wszystkiem jedna rzecz pocieszająca: tam występowała młodzież, tu ludzie dojrzali. Kto wie jak u nas zachowałaby się młodzież w podobnych wypadkach. Zarazem widać z tego, jak ważną jest rzeczą — by młodziż przyjmowała udział w sprawach publicznych. Ona jedna zawsze jest zdolną cześć dla ideału łączyć z czynną jego obroną. Dla nas polaków obywatelska działalność połączoną jest zwykle z ofiarnością i poświęceniem. Więc nie czas zaprawiać się do służby publicznej, kiedy już sieć przeróżnych »obowiązków« oplącze wolę człowieka...

* *
*

Jacy my jesteśmy wrażliwi na sławę za granicą! Duma aż wspiera nam piersi, kiedy wymieniamy nazwiska naszych znakomitości, znanych na obydwóch półkulach: Sienkiewicz, jako powieściopisarz, Modrzejewska jako artystka dramatyczna, Szczepanik jako wynalazca, Reszkowie, jako artyści — śpiewacy, Nencki uczony chemik, Gałęzowski okulista, że nie wyliczam Mickiewicza, Szopena, Wróblewskiego i innych naszych wielkich zmarłych!

Obecnie przybył nowy tytuł do dumy narodowej, nowe piórko w pawim ogonie: Paderewski, jako kompozytor oper! »Teatr parée«, »Szpalery z młodzieży« (także dekoracyjny efekt!), śniadanie u namiestnika, »co powiedział?« i t. d.

Szkoda tylko, że Paderewski nie urodził się w żadnem z miast w Galicyi: miasto to miałoby szczęśliwą okazyę do obdarzenia »mistrza« tytułem obywatela honorowego. W braku tego kasyno w Ciężkowicach, którego członkiem jest »mistrz« — zawiesiło na ścianie portret »króla fortepianu«, któremu to aktowi towarzyszyła wielce podniosła uroczystość. A wszędzie brzmi jeden réfrain, rozsławił imię polskie za granicą! To samo było przy uroczystościach Sienkiewicza. I potem dziwią się a nawet oburzają ludzie, że nasi wielcy artyści starają się przedewszystkiem o względy tej zagranicy«!

* * *

Obecna pora roku jest chwilą dorocznych zjazdów, kongresów, walnych zgromadzeń, Już różne towarzystwa rolnicze, ogrodnicze, finansowe, pedagogiczne odbyły swe naradyy, Pomiędzy niemi jedno bliżej obchodzi młodzież — to zlot Sokołów. Nie chodzi tn o sam zlot Sokołów tylko o instytucyę.

Dziś straciła ona już swoją »ideę«, jaką kierowali się pierwsi twórcy sokolstwa, — zostały się tylko towarzystwa gimnastyczne. Prócz dorosłej młodzieży i ludzi dojrzałych kształcą się tam w gimnastyce i dzieci. Przykry widok sprawiają szeregi tych malców w czasie ćwiczeń — są to ofiary tresury. Ćwiczenia te mają być odpoczynkiem po pracy umysłowej, — w istocie zaś praca mózgu tu nie ustaje. Aby stać równo w szeregu, maszerować zgodnie, wykonywać w kilkunastu lub kilkudziesięciu każdy ruch — jak jeden człowiek, na to trzeba ciągłego naprężenia uwagi, a cóż właściwie jest powodem znużenia przy pracy umysłowej — jak nie skupienie uwagi? Dla dzieci — gry, zabawy

i wycieczki, a gimnastyka dla młodzieży dorosłej, chcącej pewne grupy mięśni wyćwiczyć specyalnie, lub dla chorych, pragnących np. skrzywienia kostne przez ćwiczenia mięśni naprawić. Bezmyślnie tryumfująco spogląda taki mistrz-sokół, jak dzieci wykonywują bezcelowe, skombinowane sztuki karkołomne na poręczkach — w żadnym stosunku nie stojące do wyrobienia wytrwałości, odporności na znużenie, wpływy atmosferyczne i t. p.

* * *

W ubiegłym miesiącu skazano na śmierć mordercę Czajkowskiego. Z przebiegu procesu zdaje się wyłaniać jako rzecz niewątliwa, że to jednostka zwyrodniała, że to człowiek nie tak świadomy praw moralnych, obowiązujących w naszem społeczeństwie, abyśmy mieli bardzo oburzać się na niego za ich przekroczenie. A jednak skazano go na śmierć, bo »dla wszystkich jednako surowe oblicze ma prawo.« Bardzo niewiele państw europejskich zniosło u siebie karę śmierci. Zniesioną być ona winna wszędzie: 1) dlatego że nie posiada najważniejszej cechy, jaką każda kara posiadać powinna: nie może być cofnięta w razie omyłki 2) dlatego, że ci co wydają wyrok śmierci, sami nie mogli by go wykonać. Jak może sędzia skazywać kogoś na śmierć przez powieszenie, jeżeli sam nie byłby w stanie założyć stryczka na szyję zbrodniarza i udusić go? Więc się wyszukuje »specyalistów« od spełnienia rzeczy, którą uważamy za potworną do tego stopnia, że nieraz wolelibyśmy sami odebrać sobie życie, niestać się choć jeden raz katem.

Najparadniejsze jednak są pisma codzienne: wyliczają całe potoki wyrazów zgrozy i wstrętu z powodu wykonania sceny wyroku śmierci, ale sprawozdania swoich »specyalnych« wypełnione odrażającemi szczegółami umieszczają z całą skrupulatnością... X.

Z NOWEGO POKOLENIA.

(Nowela.)

Jarski chodził rozgorączkowany po pokoju.

„A więc zdałem maturę... zdałem! Jestem wolny, swobodny...“

Choć te słowa powtarzał ciągle, nie mógł ich sobie dobrze uświadomić. — Jakto! Wczoraj jeszcze parę godzin temu, ciążyła na mnie zmora, która paraliżowała mózg, przytłaczała piersi — zmora, na której wspomnienie i teraz opanowuje mię uczucie niewypowiedzianego lęku... A dziś, wolny... swobodny!...

Jarski starał się badać pochodzenie tego uczucia. Matura od dawna widniała przed nim jako środek do wydobycia się z więzów szkoły. Gdy zatopił się w pracy, środek ten stał się najbliższym celem. A cel taki zajął wszystek czas, wszystkie myśli, odbierał sen, siły, młodość.. Tyle pracy!... tyle wysiłku i jedna godzina rozstrzyga wszystko.

Podobne wrażenie musi mieć więzień, który długo już zamknięty tęskni i marzy o swobodzie. Więzień pracuje niezmordowanie. Piłką jak włos cieńką przecina kajdany... Tyle potu, tyle nocy bezsennych... Kajdany zsunęły się z rąk... jest już wolny, swobodny... Takie też uczucie musi mieć motyl, gdy się oswobodzi z skorupy poczwarki... Mokre, zmięte skrzydła trzyma nieruchomo i po długiej niewoli nie wierzy szczęściu...

Lecz motyl prostuje, suszy skrzydła i, wpatrzony w słońce, zrywa się do lotu.

Jarskiemu przemknął w myśli cały ten czas trwogi, męki, pracy... Uciec! Uciec! Wszystko to przypomina mi te dni niewoli.

* * *

Jarski opuszczał Kraków.

Żal mu było wynosić się z pokoiku, w którym tyle przeżył. Pamiętał chwilę sprowadzki.

Pokój był mały, niski, że ledwo rękę wyciągnąć można było, ale był „z umeblowaniem“. Podłoga mogłaby służyć z model równi pochyłej, a ściany rozłaziły się we wszystkich kierunkach, jak pudełko, nieudolną ręką dziecka klejone. Piec, który przez ciągłe naprawki stracił swój dawny kształt, stał jakby uosobienie smutku i opuszczenia. Lustro jakby na przekór swemu przeznaczeniu i z gryzącą ironią, przedstawiało wszystko w innych kształtach i barwach. W pokoju zawsze było ciemno. Przez okno widać tylko mur stojący o kilka

kroków... ani skrawka nieba... mur tylko, mur jednostajny, więzienny... Z czasem jednak i ten mur zaczął się ożywiać. Jarski czytał na nim całą jego historyę. Tu szrama szeroka, tu rana z cegieł czerwonych, tu wypukłość, jakby skrzywione chorobą i wilgocią członki biedaka... tu czarna smuga brudu, jak łzy nędzy i niedoli...

Mur żył i miał duszę.

Jarski zaczął się pakować. Składał książki, notatki, szpargały... Między tymi papierami znalazł jakiś urywek z pamiętnika dawniej pisanego.

Zaczął czytać:

„15. czerwca.

Dopiąłem tego, że zaczęto wydawać pisemko, w którem mieliśmy umieszczać nasze „Pierwsze próby“, czerpać z niego zachętę i pomoc w samokształceniu. Nie obliczyłem się z siłami, działałem za prędko. Za mało miałem hartu, energii, stanowczości, za wiele marzeń i nadziei. Trzeba było przygotować się na to, że w klasie znajdzie się partya złych, głupich, złośliwych i że ci kamieniem na mnie cisną.

Tak się też stało. Pisemko wyśmiano, a mnie i kilku innych obrzucono błotem. Był to cios dla mnie tem straszniejszy, im mniej go się spodziewałem. A ja tak roiłem! Myślałem, że wszystkim wystrzelą orle skrzydła i że, zapatrzeni w blaski tęczy, wzbiją się pod niebo. Nie wiedziałem, że wyrosną im, ale skrzydła puszczyków.

I puszczyki zaśmiały się złośliwie, przeciągle. Przeraźliwy ich śmiech targał mi serce, odzierał marzeń skrzydła. Czułem, że druzgoce się coś we mnie, coś rani, a zarazem łka i skowycze z bolu. Niepewność i zniechęcenie do wszystkiego ogarnęły mię zupełnie. Z początku bałem się tej odmiany, później poddałem się prądowi bezwładnie. Zrozumiałem tylko jedno; zrozumiałem, że muszę mieć cel przed sobą — cel, któremu mógłbym poświęció wszystkie myśli, całą duszę. A celu takiego nie miałem.

I ta choroba duszy trwała długo... Trawiła mię gorączka wewnętrzna i niepokój. Potrzebowałem jakiegoś ukojenia. W święta, kiedy nauki nie było, zrywałem się bardzo wcześnie i robiłem dalekie wycieczki. Błąkałem się w okolicy

Lwowa, wśród lasów i jarów. Zmęczony i zachwycony otoczeniem, zapominałem na chwilę o wszystkiem...

Jestem w świątyni. Cisza, spokój, samotność.

Gruby dywan zżółkłych, wilgotnych liści pokrywa ziemię. Setki kolumn i rozgałęzionych żeber podtrzymuje i łączy fantastyczne, gotyckie sklepienie zieleni, pełne odcieni i barw, pełne życia... Choć cisza, coś gada tajemniczo, coś szepce, nuci i wzdycha.

17. czerwca.

Nie wiedziałem, że tak dalece jestem zdenerwowany.

Byłem wieczorem w parku. Przedemną ciemne głębie zbitych gąszczy... Roje świętojańskich robaczków posuwają się błędnie, nikną i znów świecą wśród krzaków. Gładka tafla stawku przerznięta drgającemi smugami odbitych świateł, słabo zarysowuje swe brzegi.

Mimowoli skierowałem się do alei, którą lubiłem bardzo. Czarne olbrzymie ręce jodeł i świerków, wyciągnięte nad moją głową, zdawały się wróżyć, albo grozić. Wiatr poruszał niemi miarowo, poważnie. Nagle mróz strachu przebiegł mię po ciele — grobowy krzyk sowy zajęczał gdzieś koło mnie... Uciekłem jak szalony.

19. czerwca.

Chciałem wypróbować siłę swej woli i nerwów. Poszedłem wieczorem znów do alei parku.

W nerwowym strachu przeszedłem długą, pustą, ponurą aleję. Chciałem dręczyć się dalej. Kazałem sobie przejść gęsty, czarny lasek, który zagrodził mi drogę. Stanąłem... czułem, jak krew rozsadza mi żyły, słyszałem, jak szemrze miarowo, przepływając koło uszu. Serce szarpało się w piersiach, jak ptak, chcący kładkę rozerwać.

Wracałem. Wtem, drogę zastąpił mi chłopczyna z koszem, mały, obdarty, błagając o kupienie precla.

— Dlaczego tak późno sprzedajesz? Czemu nie wracasz?

— Będą mię bili, żem mało sprzedał...

Wziąłem precla, płacąc piątaka... Chłopak niedowierzająco pod światło na pieniądz popatrzył.

— Kto cię będzie bił? Ojciec? Matka?

— Nie. Ja sierota; u piekarza.

*

Podejrzywałem trochę to sieroctwo, ale machinalnie wyciągnąłem pugilares i dałem wszystko, co miałem: kilkanaście centów.

Zły dzwoniłem do bramy domu. Nie spostrzegłem wyciągniętej ręki stróża i biegnąc do mieszkania, rzuciłem w przelocie:

— Dam jutro — nie mam drobnych...

25. czerwca.

Zaczynam się uspokajać. Bo też i za co właściwie mam nienawidzieć kolegów. Alboż oni temu winni? Taki koniec „Pierwszych prób“ jest dla mnie nawet korzystny. Nabyłem doświadczenia, pozbyłem się marzeń, które wszystko barwią różowo. Właściwiejby było, gdybym się teraz znów zabrał do roboty... Ale boję się tej myśli.

27. czerwca.

Od kilku dni nie myślę o niczem innem, tylko o założeniu wśród kolegów Towarzystwa samokształcenia. Myśl o tem zagrzewa mię i dodaje ochoty do życia. Teraz praca moja powinna mieć większe powodzenie.

30. czerwca.

Założyliśmy Towarzystwo! Znalazła się spora garść kolegów z zapałem do pracy i wiedzy.

Szczęście rozsadza mi piersi...

* * *

Urywek się skończył.

Rój wspomnień przewijał się w mózgu, szereg obrazów barwnych zmieniał się, jak w kalejdoskopie, przed duszą Jarskiego.

Smutny był koniec Towarzystwa... tak... smutny!

Jarski widzi dawną swoją klasę. Nagle otwierają się drzwi, tercyan wsuwa głowę i mówi: „Jarski do kancelaryi!“

Mróz go przechodzi...

Wszystkich oczy zwracają się na niego. Wychodzi powoli. Jest na kurytarzu. Kurytarz długi, ciemny, cichy, poprzerywany w równych odstępach oknami, przez które widać tylko zeszpecony, wilgotny mur. Tak cicho jak na cmentarzu, choć tu setki serc młodych, pragnących życia.

Raptem zatrzymał się... A jak oni wiedzą o Towarzystwie?... Stał przed kancelaryą... a jak oni wiedzą o wszystkiem? Strach dławił go za gardło... a jak oni wiedzą? Ta jedna myśl kotłowała mu w głowie i napróżno starał się otrząsnąć, skupić, obmyśleć odpowiedzi na możliwe pytania...

Naciska klamkę. Uderza go zimny, surowy widok kancelaryi.

Ach! to śledztwo! to śledztwo straszne! Nie myśleć o tem...

Obraz rozwiał się i znikł, pozostawiając uczucie goryczy

Jarski widzi teraz chwilę pożegnania z kolegami, gdy wyjeżdżał wygnany ze Lwowa. Była już północ, a przecież zebrało się ich wielu. Ucałował każdego serdecznie, chcąc jeszcze w ostatniej chwili związać się mocniej z nimi, aby módz pomyśleć: Pozostawiam przyjaciół, którzy o mnie myśleć będą.

Pociąg, jak długi, czarny wąż, wślizguje się z brutalną gwałtownością w tę noc ciemną, tajemną. Po bokach drogi nagle wyrastały sylwetki drzew, lasów, budek, lub mignęło światło. Kwadratowe, świetlane odbicia okien pociągu biegły, ślizgając się po rowach, nasypach...

Po przejściu pociągu, zostawała tylko postrzępiona chmura pary, rozwieszająca się po polach... lecz i ta znikła... a pociąg gnał i gnał coraz dalej.

Kraków coraz bliżej, a z nim zbliża się i dzień biały.

„Kraków“!

Każdy dom, kościół, mur, oddecha starością...

W obcem mieście sam... sam, pierwszy raz z dala od swoich.

Nie wiedzieć skąd — przypomniała mu się jakaś chwila z dziecięcego życia:

Siedzi sam w pokoju, w nocy, na wsi... Jest lato. Przez otwarte okna wdziera się wiatr ciepły — przynosi zapach i szum lasu, którym dom otoczony, ale zarazem przejmuje dreszczem i chwieje płomykiem lampy... Słychać chóry żab... Zresztą cisza... Jest trochę strasznie... Koniuchy gwiżdżą gdzieś pod lasem...

. . . .

W tem półśnie-marzeniu Jarski nie słyszał, jak ktoś do drzwi zapukał i jak do pokoju wszedł kolega.

Zbliżył się do łóżka i szarpnął Jarskiego za ramię.

— Cóż to, spisz?

Jarski zerwał się, usiadł na łóżku i popatrzył błędnie. Marzenia urwały się. Resztki ich snuły się jeszcze jak mgła, jak rozstrzępione smużki dymu — i nikły...

— Jakżeż, Jarski? Idziesz na pożegnalny wieczór?

Nie mógł się otrząść, opanować, zebrać myśli.

— O co pytasz?

— Czy idziesz pożegnać się z belframi na komersie?

— Dobrze! Pójdę!

*
* *

Sala tonęła w rzęsistem oświetleniu. Pełno było odbłysków zastawy i nakrycia. Szklane krzyształy ozdób rzucały barwne a nieuchwytne tęcze. Uczniowie skupili się koło profesorów lub w grupach chodzili i rozmawiali. Jednostajny, przyciszony gwar brzęczał koło uszu.

Rozpoczęto kolacyę, picie i mowy.

Jarski z złośliwem zadowoleniem patrzył na głupią minę profesora, wykrztuszającego z siebie banalno-podniosłe zdania, silącego się na drżący głos i łzy w oczach. Drwił z niego w duszy... Na każdą mowę odpowiadali uczniowie z udaną szczerością; każdy zaczynał: „Siedm lat mija“ i każdy w kółko powtarzał „wdzięczność“, „wspomnienia“, mury szkolne“ itp

Pito. Twarze nabierały wyrazu głupiego zadowolenia. Przed śmiejącemi się oczyma otoczenie poczęło zlewać się w chaos światła, blasku, kolorów, gwaru, brzęku, śmiechu, zapachów jadła i alkoholu...

Kiedy zabawa dosięgła kulminacyjnego punktu, wstał Jarski. Był blady i podniecony. Nie wszyscy zauważyli ten wstęp do mowy. Nie uciszono się jak przed innymi mowcami i tylko wśród gwaru rozległy się psykania o spokój — psykania tych, którzy ciekawi byli, co też to powie ten zawsze od nich z daleka stojący Jarski.

A on mówił:

„Koledzy! Korzystam z chwili. Jesteśmy po raz ostatni wszyscy zgromadzeni i dlatego odważam się na powiedzenie

słów z głębi serca, słów prawdy. Słyszeliście szereg mów. Uczniowie wypowiadali swój żal za opuszczonemi murami szkoły i przewodnikami... Profesorowie mówili wam, że lata, spędzone w szkole, są najszczęśliwsze, że później, wśród trosk i zawodów, wśród zabiegów o byt swój i rodziny, patrzeć będziecie na te lata, jak na piękny obraz szczęścia.“

Ożywiał się, mówił coraz śmielej.

„Przypatrzcie się bliżej temu szczęściu.

Przyszliście do szkoły mali, nie rozumiejąc tych wielkich słów: wiedza, praca, miłość, poświęcenie. Wychodzicie „dojrzali“, a także ich nie rozumiecie. W szkole podzielili was na stopnie, a inteligencyę waszą odznaczyli paskami. — W klasach wtaczali tylko pewne prawem przepisane formułki. Przez całe lata rzeźbili z was i wykańczali kółka, przystosowane do wielkiej maszyny biurokratycznej. Ten, który nie mógł się wcisnąć w tę formę, ten, który pragnął czegoś wyższego, gubił się gdzieś po drodze. Przesiewali was jak jak ziarno od plew.

Cieszcie się! Jesteście zdrowem ziarnem!

Plewy rozwiały się po świecie i płyną za podmuchem wiatru, niepewne jutra, kiedy wasze żołądki mają zapewniony byt“...

Jarski zapalał się stopniowo. Blada twarz jego rozogniała się...

„Ale szczęścia prawdziwego nie znajdziecie, bo w was zabili już myśl szeroką, w kajdany zakuli duszę, spaczyli umysł. I choćbym powiedział: „nie wierzcie profesorom, porzućcie drogę wygodną, na którą was pchnęli, a pójdźcie drogą zaparcia się siebie, drogą poświęcenia — nie usłuchacie mię. Złoty kołnierz i pieniądze dalej będą waszym celem. Będziecie piąć się po trupach i towarzyszyć wam będzie jęk, płacz, przekleństwo. Na waszych rękach zakrzepnie krew. pot i łzy bliźnich, choć będziecie biali i szanowani. Zazdrośćcie mi! Ja, który wśród was należałem do plew, dziś święcę tryumf zmartwychwstania! Wstępuję w szeregi tych ludzi, którzy przygotowują świat nowy, piękny, szczęśliwy. Nie dla was tam dostęp, bo tam hasłem: „szczęście ludzkości!“ “

KORESPONDENCYE.

Radom.

I.

Pisać o naszych stosunkach gimnazyalnych, to znaczy skarżyć się na wszystko, począwszy od szwajcarów i inspekcyi, a kończąc na nauce i profesorach. Potwierdzimy to paru przykładami. Rozporządzenia o kłanianiu się gubernatorowi (przyczem po ogłoszeniu tego „ukazu“ każdy z nas w klasie musiał powstać i powiedzieć: „słyszałem“), o chodzeniu po jednej tylko stronie ulicy i to zimą nie później. jak do 6-tej; zakazy jazdy konnej i na rowerze i t. p., które nie mają chyba nic innego na celu, jak przypomnienie, że istnieje nad nami władza i że wolno jej z nami czynić wszystko, co się jej podoba — są na porządku dziennym i mają stałą lub czasową moc obowiązującą. Wszystkie listy, przychodzące do gimnazyum, a adresowane do uczniów „podejrzanych“, inspektor rozpieczętowuje i czyta, najmniejsza zaś wzmianka o jakiejś książce lub czemś podobnem jest powodem długiej szpiclowskiej indagacyi. Po stancyach i prywatnych mieszkaniach włóczą się klasowi gospodarze i dyrektor, rewidują książki, przyczem na stancyach konfiskują je bez ceremonii. Nawet w murach gimnazyum dyrektor nie waha się plądrować naszych kieszeni. Dla charakterystyki tego genialnego męża stanu powiemy tylko, że we wszystkich wyższych klasach, poczynając od 4-tej, przy każdej sposobności prosi i grozi, abyśmy pod żadnym pozorem nie przyjmowali od ludzi nieznajomych książek wzbronionych, broszur lub proklamacyi, nie wdawali się z nimi w rozmowę o polityce, nie przyjmowali żadnego udziału w zebraniach, spiskach itp., gdyż możemy zwichnąć sobie życie całe. Winniśmy mu złożyć szczere podziękowanie za to, że uświadamia kolegów, którzy, czasami o podobnych rzeczach pierwszy raz z jego ust słyszą. Weselszy obraz przedstawia nasze wewnętrzne życie umysłowe i społeczne. Wśród panien tutejszych daje się zauważyć pewien ruch i ożywienie; koleżanki nasze nawet budzić się poczynają z głębokiego snu nieświadomości. Gdy jednak spojrzymy dokoła, gdy zwrócimy wzrok na większość naszych to-

warzyszów, w słodkiej duchowej drzemce pogrążonych, mówimy: „co za ogrom pracy przed nami, długiej i moralnej“! Gdy słyszymy gromkie okrzyki „hura!“ na chwałę cesarza, wyrzucane z drobnych piersi naszych młodszych kolegów na „muzykalnych porankach“, gdy patrzymy na to całe straszne piekło gnębienia i wyjaławiania dusz, przybytkiem którego uczyniono szkołę, co winna być ogniskiem światła, hartującym i doskonalącym młode serca, wołamy: Hej, prędzej do pracy i walki za wyzwolenie; nie żałujmy siły mózgów, serc i ramion, bo już nam bardzo, bardzo ciężko.

II.

Żadna chyba wielka idea nie uległa w zastosowaniu praktycznem takiemu spaczeniu, jak kształcenie młodzieży. U nas zaś to zboczenie od ideału jest podwójnem. Bo z ogólną niedoskonałością programu szkoły średniej i niżej krytyki stojącym doborem pedagogów, łączy się element rysyfikacyjny, który do reszty czyni ze szkoły jej karykaturę. Pomijając ostatni, zastanówmy się w szczególe i potwierdźmy przykładami z miejscowych stosunków twierdzenie o charakterze t. zw. „ciała pedagogicznego“. Głowę jego i duszę stanowi dyrektor, Smorodinow. Jestto człowiek o niskiej postawie, czaszce idjoty i semickim, wiecznie czerwonym, a dlatego zaszczytnie wyróżniającym go z grona dyrektorów, nosie. Po za tem nie posiada żadnych wyższych aspiracyi: mózg jego nie jest również obciążonym zbytecznym balastem zasad: w każdej chwili gotów jest zmienić cały swój światopogląd, stosownie do otrzymanych z Petersburga rozporządzeń; o wiedzy jego dość powiedzieć, że „a“ w potędze x przedstawia mu się jako „a z krzyżykiem u góry“, o obejściu zaś, że w stosunkach z uczniami wyższych nawet klas stale używa takich wyrażeń jak „won“, „marsz“, „smirno“ i t. p. O całe niebo przewyższa sprytem swego ograniczonego zwierzchnika inspektor, Aleksiejewicz, otyły błazen i wstrętny szpicel. Z grona właściwych profesorów wyróżnić należy p. Karpienkę, czystej krwi buhaja, sprowadzonego z południa Rosyi, który nawet ośmoklasistom nie waha się mówić „małczat'“, „paszoł won“, „nie mówić po chińsku“ (to znaczy po polsku). Z Polaków na uwagę zasługuje wieloletni filar tutejszego gi-

mnazyum, nieśmiertelny Piórek, dobry filolog, jeszcze lepszy pijak, a już wzorowy szpieg i rusyfikator pod płaszczykiem religijności. Nawet ze słów Sokratesa wyciąga dla nas wnioski, że „władza od Boga rządowi jest daną“ i dlatego powinniśmy jej ulegać. Sykamy i tupiemy ile mocy, ale, niestety, słuch ma już przytępiony.

Profesor Araszkiewicz wstępuje w ślady swego starszego kolegi. Niektórzy jednak, śmielsi — zaznaczamy z zadowoleniem — ośmieszają przed nami wybryki dyrektora, a czasami nawet poruszają nawiasem kwestye społeczne. Pozostali — to ludzie wystudzeni życiem i nadużyciem, bezduszną nauką, bez gruntownej jej znajomości i pedagogicznych uzdolnień; bez skutku starający się podołać zadaniu, co przechodzi ich siły, „młodzi“ i nareszcie na pół tylko poczytalni, jak sądzę, nauczyciele języków, niemieckiego i francuskiego. Nie dziw tedy, że szukamy nauki poza szkołą, i że ujęliśmy samokształcenie w stałe ramy.

O. RAWICZ.

III.

(*Nasze Credo*).

Zawsze i we wszystkich społeczeństwach obserwować można rozłam między starszem i młodszem pokoleniem. Sądząc bezstronnie, przyczynę tego zjawiska szukać należy u tej i tamtej strony. Starsi, z małymi wyjątkami, zapominają o naukowem prawie wiecznego postępu i zasklepiają się w ciasnej skorupie przeżytych ideałów i pojęć. Młodzi zapominają znów o tem, że postęp opiera się na prawie ewolucyi, nie zaś rewolucyi i że burząc gmachy popękane i grożące upadkiem, nie należy gardzić staremi cegłami i fundamentami. Wskutek tych końcowości obydwie strony zawsze stoją na przeciwległych biegunach. To samo zjawisko ma miejsce i teraz u nas. Starsi nie chcą lub nie mogą nas zrozumieć. Jedni, z ironią kładąc na szalę siwe włosy i oziębłe serca wołają: „Młokosy! Wąsów nie widać wam na wargach, a świat przebudować chcecie!“ — A my wyjmijmy serca gorącej krwi pełne, wysnujmy szczerozłote nitki swych myśli i utkawszy wzorzystą tkaninę, połóżmy na szalę drugą, a przeważy, stokroć przeważy! — Inni, pogubiwszy w walce o byt lepsze uczucia

i wznioślejsze myśli, ukazują nam w przestrzeni żłób pełen, lub bałwana ze śniegu i zwą go „ideałem“. Od tych odwróćmy się, by nie zatruli nas swym oddechem, a na bałwana spojrzmy gorącem spojrzeniem serca, a roztopi się i zniknie bez śladu... Są i tacy wreszcie, co założywszy czarną krepę na oczy i odjąwszy czujne ucho od naszych serc, wołają: „Gdzie młodzież nasza? Bo to są trupy, co zaparły się wiary ojczystej i ziemi!“ I rozdzierają swe szaty nad nami. Zawcześnie! Z garstki zaprzańców nie sądźcie o całej młodzieży polskiej. Nie rozumiecie naszych haseł, nie znacie wielkiej idei, co nam wśród nocy, jak słup ognisty ludowi Izraela, drogę ku Ziemi Obiecanej wskazuje. Zdejmijcie krepę z oczu, przyłóżcie ucho do naszych piersi, a usłyszycie dziwne szmery, co kiedyś połączone w potężny hymn, napełnią świat cały niebiańską harmonią. A dziwne to, zaiste, szmery! Pod knutem zrodzone, chowane przed uchem mongoła i profanów w najgłębszych tajnikach duszy — rosną, wciąż rosną i tyle w nich słychać głosów! Słychać w nich i wiarę i ukochanie tej ziemi naszej i wszelkiej nędzy współczucie serdeczne Słychać i głos brabraterskiej łączności w tym np. wierszu (jednego z kolegów):

„Hej koledzy! Łączmy dłonie,
Pieśń zanućmy wszyscy wraz;
Ogień w naszych sercach płonie,
Kto zaprzecza — nie zna nas!

Próżno przemoc nas uciska,
Próżno wiarę zabić chcą,
My stwarzamy swe ogniska —
Hej! podajcie bracia dłoń!“...

Tak, nie mówcie, że młodzieży niema, lecz poznajcie ją. Posłuchajcie bicia serc naszych, a usłyszycie nasze „credo“! „Wierzę w niezłomną ducha moc i w tych tysiące serc, co przepełnione są ogniem miłości bratniej. Wierzę, że chociaż my przeminiem i po nas pokoleń tysiąc, nadejdzie jednak czas, gdy prawdy słońce złote na horyzoncie się rozpali. Wierzę i młode swe wyciągam dłonie ku przyszłości!“

Dosyłam tę pracę do „Promienia“, gdyż uważam go za jedyne szczerze rewolucyjne pismo młodzieży polskiej, mogącego odzwierciadlać jej serdeczne nadzieje i pragnienia.

SELENITA.

Z Rzeszowa. Dzisiejszą korespondencyę chciałem zacząć jakąś poważną dewizą łacińskiego poety „Odi profanum vulgus“ ale niestety! Do filologii nie mam wielkiego nabożeństwa, a zresztą przeciwnicy obarczyliby zaraz „Promień“ zarzutem, iż sprzyja duchowi zacofanego klasycyzmu. A jednak... jednak... jako uczeń zakładu, który stoi wiernie na straży ideałów Horacego (nunc est bibendum) i innych poetów, przesiąkniętych duchem serwilizmu i filisterskiego życia, powinienem zawsze, według słów Morawskiego „płakać łzami Greków lub śmiać się śmiechem Rzymianów,“ powinienem nawet myśleć, jak rozmaitego rodzaju Serviusze, Tullusze i t. d.

O! bo nasze gimnazyum to rzeczywiście strażnica „rzymskiego pamiątek kościoła,“ to rzeczywiście gimnazyum klasyczne. Począwszy od „klasycznego dyrektora,“ który zamiast Mickiewicza, Słowackiego i innych „nieznanych“ szerszemu ogółowi młodzieży poetów sprowadza do szkolnej biblioteki po kilkanaście egzemplarzy Sarbiewskiego w łacińskim języku (z komentarzem polskim) a skończywszy na innych drobniejszych figurach, tresowanych zapewne w „łacińskich“ lupanarach; wszystko to stara się wypaczyć przy pomocy klasycznych środków młodzieńcze umysły. Mickiewicz i Słowacki, to rewulucyoniści, Lelewel doktryner socyalistyczny, Goszczyński to duch przeklęty Nalewajków i Chmielnickich — więc trzeba koniecznie jakichś nowych!! wyszukać, albo zaglądnąć do starych! Nowi — to Koźmiany, Kalinki, Szujscy udrapowani pod egidą Stanisława Tarnowskiego, który, jak geniusz jaki, rozpiera się bezczelnie w bibliotece, starzy znowu — to Sarbiewscy, Janiccy i duchowo z nimi spokrewnieni Ovidyusze, Horacyusze i t. d. Cały ten zastęp klasycznych autorów dostarcza dopiero prawdziwie zdrowych myśli, jak należy czcić władzę, być posłusznym i oddawać się sielankowemu życiu. I oni jednak jeszcze nie dość jasno określają obowiązki względem „skombinowanej ojczyzny“ i władzy. Dlatego też nasi filolodzy szukają sojuszników i pomocników w kształceniu prawego ducha młodzieży i znajdują ich w rozmaitych ojcach kościoła i świętych. Biblioteka cała roi się od żywotów św. Genowefy, od św. Tomaszów z Kempis i nie Kempis, od Stanisławów Kostków i t. d. Niejeden nawet z rzeszowskich epigonów sztuki pisarskiej szuka laurów w piórze i dostarcza

gimnazyum „wielce cenionych“ przez najwyższe powagi duchowne dzieł, w których stara się wszczepić zasady biernego życia i społecznego idyotyzmu w serca młodzieży (Prof. Bartunek „spokrewniony duchowo“ z Rejem: „Wskazówki do szczęśliwego żywota.“)

Nic też dziwnego, że młodzież chowana w wstecznych zasadach, obracająca się w kole sofistycznych rozumowań klasycznych autorów i odpychana energicznie od prawdziwych źródeł wiedzy, od nauk przyrodniczych, przesiąka kretynizmem i oddaje się życiu filistrów. Płomienny bowiem zapał młodzieńczy, gaszony systematycznie zręczną ręką adeptów zgubnej arystoteliki, duch zgnębiony i zamykany w coraz ciaśniejszych okowach bezmyślności, zużywa się powoli i gaśnie zupełnie w bezdusznej apatyi.

Do zupełnego zaś pogrzebania wszelkich wolniejszych myśli służą prócz bibliotek i rozmaite dygresye, napokostowane grubo patryotyzmem. Wszystkie swobodniejsze i szczytniejsze idee obarcza się zarzutem kosmopolityzmu i zdrady interesów narodowych. My jednak znamy was patryotów w sutannach, którzy na kazaniach z namaszczeniem faryzeuszowskiem podnosicie nabożnie oczy i zanosicie modlitwy za ojczyznę. Kto nie był ślepy, mógł poznać wasz patryotyzm, księże Chmielnikowski i Karakulski podczas śpiewu „Boże coś Polskę“ kiepyście wypędzali z oburzeniem młodzież z kościoła, kto nie był ślepy, mógł poznać wasz patryotyzm po ostatniej demonstracyi w rocznicę konstytucyi majowej, kiedyście za udział w demonstracyi relegowali kilku uczniów z IV kl. z bursy! Młodzież która chciała widzieć, widziała wasz patryotyzm i należycie go oceniła.

STANISŁAW BOROWSKI.

Złoczów. Moja korespondencya do „Promienia“ będzie — o ile wiem — pierwszą ze Złoczowa. I nie można się temu dziwić. Gorliwa opieka i wpływ takiego prof. Sędzimira, który nie zaniedbywał sposobności, aby pośród uczniów nie propagować swego stańczykowskiego szowinizmu i uważał za święty swój obowiązek i posłannictwo rozdmuchiwać nieprzyjaźń, a nawet nienawiść między uczniami Polakami i Rusinami (z „Słowa polskiego“ i ruskich dzienników znana jest jego niegodziwa

tyrada przeciw Szewcence wobec całej klasy) — jak najgorsze wydawały płody i wielu uczniów sprowadziły na manowce. Przez cały czas jego nauczycielstwa w naszem gimnazyum wychowali się uczniowie w pogardzie do wszelkiego postępu, w nietolerancyi i nienawiści do wszystkiego, co nie podchodzi pod ramki narodowych i społecznych przekonań, które prof. Sędzimir w nich wszczepił.

Dla ilustracyi przekonań, jakie prof. Sędzimir w obec uczniów wypowiadał nie zawadzi wspomnieć o tem, iż on zasadniczo był (zapewne i jest) przeciwny temu, aby chłopski syn chodził do gimnazyum; „niech ukończy ludową szkołę i wróci do uprawy roli“ — te słowa słyszałem jeszcze jako uczeń V kl. z ust szanown. pedagoga. Dodać jeszcze należy że on starał się o rozszerzenie wśród uczniów śp. „Przyjaciela młodzieży“... Na szczęście i pr. Sędzimirowi noga się wywinęła i on, mimo starań ustnych, z naszego gimnazyum został usunięty. (Podaję to w Promieniu do wiadomości kolegów w Rzeszowie, dokąd pr. Sędzimir ze Złoczowa jest przeniesiony i dokąd wkrótce przybędzie, — ażeby oni wiedzieli, jakiego w nim znajdą opiekuna.)

Kiedy jzż zacząłem o naszych profesorach, to jeszcze kilka słów im poświęcę.

Prawie od początku istnienia naszego gimnazyum wykłada historyę w wyższem gimnazyum pr. Sanocki. Trudno sobie wymarzyć większego fałszerza dziejów, jak ten profesor: zawzięty russofil, wielbiciel absolutyzmu i knuta — według swoich przekonań przekręca i fałszuje fakta historyczne, oświetlając je ze swego punktu widzenia; wszelka objektywność u niego wykluczona. Kwestyi społecznych i narodowych także nie usuwa z swych wykładów, a ma dla napiętnowania tych, które mu się nie podobają, cały dobór tak ordynarnych wyrazów, że bez narażenia kolegów na niesmak, nie można ich przytoczyć... Skutki takich wykładów dla uczniów jak najgorsze. Płaszczenie się, hipokryzya, pogarda dla profesora i odraza do przedmiotu, który on wykłada — to będzie mała część tych zgubnych następstw, które w wykładach pr. Sanockiego mają swoją przyczynę.

Dodać jeszcze nie zawadzi że prof. Sanocki po cichu, w domu prowadzi wśród młodszych uczniów moskwofilską pro-

pagandę, pożyczając im w tym celu odpowiednie książki i żywem słowem ich przekonywując.

Tyle o pr. Sanockim.

Ks. Bystrzycki nie odstępuje od typu przeciętnego galicyjskiego katechety gimnazyalnego. Zamiast nauczać miłości bliźniego i tolerancyi — on nie opuszcza sposobności, aby się nie przejechać po różnych „socyalnikach,“ liberałach etc., mianując ich z iście chrześcijańską łagodnością „łajdakami“ i t. d. i gorąco wzywając uczniów do radykalnego wykrzewienia tych szkodliwych prądów.

Ponieważ u nas braknie profesorów, przeto powołano na suplenturę dwu słuchaczy uniwersytetu, prawnika i medyka. Myliłby się ten, ktoby sądził, że ci młodzi panowie, nie zaprawnieni jeszcze w urzędniczej chińszczyźnie i sztywności ogółu naszych pedagogów, będą z uczniami obchodzić się więcej „po ludzku.“ Otóż nie! jeden z nich p. H. (nie chcę na razie wymieniać w całości jego nazwiska), który, jak złe języki twierdzą, u lwowskich uliczników uczył się dobrego zachowania i towarzyskiej konwersacyi, bije malca z III kl. po twarzy, która — nawiasem mówiąc u niego „mordą“ się nazywa, — obsypując przytem uczniów słowami, które nieukowi przyniosłyby wstyd!

To co dotąd powiedziałem, to — proszę mi wierzyć — część tylko tej zgnilizny, jaka nam się od jednej części naszych światłodawców dostaje w udziele. I należy im się wdzięczność nasza, bo oto „wzbudzają w nas poczucie ambicyi“ — przezywaniami w rodzaju takich jak „świnia, bydlę“..., po ojcowsku zachęcają do pracy — biciem po twarzy, zamykaniem do kozy albo wykluczeniem powściągają naszą ochotę do zajmywania się wszelkiemi niepotrzebnemi kwestyami...

Sprawiedliwość jednak wymaga, by stwierdzić, że nie wszyscy nasi profesorowie trzymają się takiej metody kształcenia, że są między nimi ludzie dobrej woli, światli — lecz tych jest niestety bardzo mało, ledwie kilku.

Dotąd mówiłem o naszych przewodnikach, profesorach; teraz kilka słów poświęcę swoim złoczowskim kolegom, — nie w tym celu, aby ich oczernić lecz, aby według możności wytknąć im ich błędy i w ten sposób zachęcić ich do pracy

nad wykorzeniem ich i doskonaleniem, kształceniem swoich umysłów.

Z tego, co dotychczas powiedziałem o profesorach, mogli sobie czytelnicy Promienia wyrobić zdanie także o uczniach złoczowskiego gimnazyum. Metoda kształcenia ze strony nauczycieli nie mogła przejść bez wpływu na uczniów i nie pozostawić bardzo ujemnych skutków. Wzajemny stosunek między profesorem a uczniem — nie tylko, że życzliwy nie jest lecz raczej nieprzyjaznym może być nazwany.

Gdy pierwszy szuka tylko sposobności aby dać „dwójkę,“ to drugi wszelkich sposobów używa i w środkach nie przebiera, byleby tamtego oszukać. Nieufność, nieprzychylność — które cechują wzajemny stosunek nauczycieli i uczniów, dobrych skutków dla tych ostatnich przynieść nie może.

Biblioteka nasza mała; zadaniem bibliotekarza jest, żeby wszystkie nowsze dzieła z biblioteki uczniów usunąć do biblioteki nauczycieli, a zastarzałe po większej części utwory nie mogą zająć sobą młodych umysłów — dlatego większa część uczniów woli, zamiast czytać nudne książki z biblioteki, grać „w kiczkę,“ włóczyć się albo zapełniać głowę lekturą lichych francuskich romansów.

O wzajemnem pożyciu wśród uczniów nie wiele dobrego można powiedzieć. Solidarności stoją na przeszkodzie różnice narodowościowe z jednej, a społeczne z drugiej strony — a to wszystko w następstwie wywołuje niezgodę a nawet nieprzyjaźń już na ławie szkolnej....

Taki w najogólniejszych zarysach stan naszego gimnazyum...

Jest źle — czy też kiedyś będzie lepiej?!

OBSERWATOR.

Podgórze.

(Abituryenci i ich uchwały).

F a c t u m e s t... Matura przewaliła się nad nami, jak ciężka, przygniatająca, ołowiana chmura. A więc jesteśmy już urzędowo dojrzali; opatrzeni stemplem c. k. gimnazyum, który nas upoważnia do swobodniejszego działania, wchodzimy w życie. Ale zaczynam ab ovo. Otóż nowy okres naszego życia rozpoczęliśmy wcale niejolalnem postępowaniem. Pożegna-

nie przy rozdaniu świadectw odbyło się bez zwykłych uroczystych szop: po krótkiem przemówieniu gospodarza, otrzymaliśmy paszporty, pozwalające nam przejść granicę dojrzałości. Wieczorem zeszliśmy się w umówionym lokalu w Krakowie. Nie była to jednak zwykła, abituryencka pijatyka: owszem wśród poważnego nastroju uchwalono kilka rezolucyi, które poniżej podaję.

„Abituryenci, zebrani na komersie pożegnalnym w dniu 15. czerwca b. r. uchwalają: wyrazić profesorom: Pardydkowi, Mazanowskiemu, Kozłowskiemu, Boratyńskiemu i Schreierowi słowa głębokiego uznania za ich pracę, a często prawdziwie ojcowskie postępowanie względem nas; natomiast katechecie Tomasikowi i dyrektorowi Bednarskiemu słowa oburzenia z powodu ich działalności wśród młodzieży, działalności nacechowanej konsekwentnem dążeniem do zgniecenia wszelkiej swobody i żywszego ruchu wśród młodzieży, a wytworzenia z niej maryonetek i lalek.

Ł. S.

KRONIKA.

Na Zjazd! Kolegom, zebranym na Zjeździe w Krakowie, życzy pomyślnego wyniku obrad

Redakcya „Promienia“.

---

† **Józef Soleski**, emer. profesor szkoły realnej, były dyrektor szkoły przemysłowej, poseł na Sejm krajowy i radny m. Lwowa, członek honorowy i jeden z założycieli Towarzystwa pedagogicznego, zmarł 24-go zm. w 56. roku życia. Zmarły brał żywy udział w życiu publicznem, a szczególnie zajmował się bardzo energicznie sprawami szkolnemi. W Sejmie i Radzie m. Lwowa był orędownikiem nauczycieli. Brał też wybitny udział w sprawach Towarzystwa nauczycieli szkół wyższych. Wyznawał zasady szczerze demokratyczne i należał do orędowników porozumienia wszystkich stronnictw opozycyjnych w Galicyi przeciw stańczykom. W Sejmie szedł zawsze solidarnie z posłami ludowymi. Był to człowiek niezłomnego charakteru. Skutkiem ran ciężkich, odniesionych w walce narodowej z r. 1863, okaleczał na całe życie na nogi. Cześć pamięci zacnego obywatela!

† **Kol. Gustaw Piotrowski.** W ostatniej chwili rozeszła się smutna wieść o śmierci kol. Gustawa Piotrowskiego. Zasłużył się on

szczerą pracą około organizacyi studenckiej w gimnazyum w Cieszynie. Był on jednostką nadzwyczaj ruchliwą i żywo się w pamięci kolegów zapisał. Cześć jego pamięci!

Program III. Zjazdu maturzystów w Krakowie.

28. czerwca. Przyjęcie na dworcu.

29. czerwca. O godz. 10. rano zapoznanie się na śniadaniu w parku dra Jordana.

O godz. 3. zebranie w sali hotelu Kleina (przy ul. Gertrudy l. 1) z następującym porządkiem dziennym:

1. Zagajenie i wybór prezydyum.
2. Nasze zadania.
3. Stanowisko kobiet na uniwersytecie.
4. Dyskusya i wnioski.

30. czerwca. Od godz. 7—1 zwiedzanie pamiątek Krakowa, przechadzka na kopiec Kościuszki, uwicie wieńca, pochód przed pomnik Mickiewicza, gdzie wygłoszone będą dwa przemówienia: polskie i ruskie.

1. lipca. Rano zebranie w sali hotelu Kleina. Popołudniu wycieczka w okolice Krakowa (Bielany — Tyniec),

Po 20. czerwca br. będzie ogłoszony szczegółowy program referatów.

Koledzy z Komitetu mają odznaki czerwono-białe.

Zebrania odbędą się na mocy § 2. ustawy o zgromadzeniach, przeto bez zaproszenia nikt wpuszczonym nie będzie. Zaproszenia należy do końca zatrzymać.

Informacyj udziela filia „Promienia“ w Krakowie przy ul. Batorego 23, III. p.

Kara za zbieranie składek na gimnazyum cieszyńskie. W Tarnopolu skazano kol. Kaz. Kobaka, na mocy doniesienia komisarza policyjnego za zbieranie składek na gimnazyum cieszyńskie na 20 koron, ewentualnie na 2 dni aresztu.

Komiczne to doniesienie podajemy dosłownie z aktu, doręczonego koledze K.:

> „Józef Siłka, komisarz policyi miejskiej, stwierdza istotę czynu, podając, że obwiniony zbliżył się w dniu 28. kwietnia br., po bezprawnem odbyciu zgromadzenia ludowego, do świadka z kapeluszem w ręku, do którego zbierał składki na gimnazyum cieszyńskie. Świadek, nie chcąc wywoływać nieporozumień, a ewentualnie ekscesów i wzburzenia (!! — red.) między zgromadzonymi, uiścił także datek pieniężny do kapelusza obwinionego.“

Komentarze zbyteczne!

Akademicki wiec w sprawie uciskanej młodzieży gimnazyalnej polskiej w zaborze pruskim odbył się w ub. mies. Proces stu kilku gimnazyalistów, których Prusacy chcą zrobić politycznymi przestępcami, a którzy tylko pracowali w kółkach nad własnem wykształceniem narodowem i społecznem, znany jest zapewne czytelnikom „Promienia“. Dlatego też wdzięczność tylko należy się tym, którzy ów wiec urządzili, bo wyrazili przez to nietylko sympatyę, ale przez obrany w tym celu komitet

przyczynili się do niesienia materyalnej i moralnej pomocy studentom — słowem przysłużyli się dobrej sprawie.

Konfiskata. Od naszego stałego współpracownika otrzymaliśmy następujący artykuł z prośbą o zamieszczenie go w miejsce skonfiskowanej „Odezwy do maturzystów“. Czyniąc zadość tej prośbie, podajemy go bez zmian:

„W imieniu jego cesarskiej mości! C. k. sąd krajowy dla spraw karnych orzekł na mocy §§ 499 i 493 p. k. i § 37 u. pr., że treść artykułu, umieszczonego w nr. 4 i 5 czasopisma „Promień“ za kwiecień i maj 1901 pod napisem I. „Odezwa do maturzystów“ w ustępie od początku do „jak dalej“, tudzież pod napisem II. „Podgórze“ w ustępie od słów „jak wszędzie“ do „bezdomnych“, a wreszcie pod napisem III. „Tarnopol“, zawiera znamiona ad I. i II. zbrodni z § 65 ust. a) u. k., nadto ad II. oraz III. występku z § 300 u. k., zatem usprawiedliwioną jest zarządzona przez c k. prokuratora rządowego konfiskata tego czasopisma.

W skutek tej uchwały wzbronione jest dalsze rozpowszechnienie tego artykułu, a zabrany nakład ma być zniszczony.

Powody:

W ustępie pierwszego i drugiego artykułu usiłuje autor w sposób poniżający pobudzić do wzgardy i nienawiści przeciw administracyi państwa, co stanowi zbrodnię z § 65 ust. a) u. k., nadto usiłuje autor w ustępie drugiego artykułu łżeniem i wyszydzaniem, oraz tendencyjnem przekręcaniem faktycznego stanu rzeczy, pobudzić do wzgardy i nienawiści przeciw kollegium profesorów ck. gimnazyum w Podgórzu ze względu na ich działalność urzędową, co stanowi występek z § 300 u. k. W inkryminowanym wreszcie artykule jak III. usiłowano tendencyjnem przekręcaniem faktycznego stanu rzeczy pobudzić do wzgardy i nienawiści przeciw gronu nauczycielskiemu ck. gimnazyum w Tarnopolu ze względu na ich działalność urzędową — co stanowi również znamiona występku z § 300 ust. kar. — Lwów, dnia 30. maja 1901. (Podp. nieczyt.)

Poseł Daszyński wniósł na naszą prośbę w parlamencie interpelacyę w sprawie ciągłych konfiskat „Promienia“. W interpelacyi tej, po przytoczeniu całej, skonfiskowanej w ostatnim numerze „Odezwy do maturzystów“, napiętnował w dobitny sposób praktykę konfiskacyjną „lwowskiego Apuchtina“, stosowaną z gorliwością ogromną do naszego pisma będącego — jak wiadomo — solą w oku ck. rady szkolnej kraj. Zamiar p. Heyderera, niedopuszczenia tej odezwy do rąk właściwych, spełzł przeto na niczem, gdyż w formie interpelacyi jest ona nietykalną i wszędzie rozesłaną będzie.

Na tem miejscu poczuwamy się do obowiązku złożenia szczerego podziękowania posłowi Daszyńskiemu za udzieloną nam pomoc, zaś p. Haydererowi wyrażamy nasze uznanie za znakomity sposób zareklamowania Zjazdu i wzbudzenie tem większego zainteresowania.

POKWITOWANIE.

Na fundusz prasowy złożyli: kol. S. K 2, K. U. K. 25 rs. (K 63·25).

Na gimnazyum cieszyńskie: V. kl. b) IV. gimn. K 3·24.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Kol. Borowski. Rzeszów. Z braku miejsca, wiersze do następnego numeru odłożone.

Kolegom z Radomia. Nie wątpimy, że będziemy od Was stale otrzymywali korespondencye. Prosimy o artykuły — pisać możecie na temat dowolny, z chęcią drukować będziemy.

Kol. Obserwator. Złoczów. Dzięki za korespondencyę — prosimy o dalsze.

OD REDAKCYI.

Kto do 10. lipca br. nie odnowi prenumeraty za drugi półrocze 1901, lipcowego numeru nie otrzyma.

Nakładem naszym wyszła odbitka interpelacyi posła Daszyńskiego w sprawie konfiskaty **„Odezwy do maturzystów“** w nr. 4—5 „Promienia“. Odbitka ta rozesłaną została kol. maturzystom.

„Komitet maturzystów krakowskich“ wydał również „Odezwę do maturzystów“, którą po całym kraju rozesłano.

Roczniki „Promienia“ (z wyjątkiem nru 2. z r. 1899 i nru 1. z r. 1900): z r. 1899 po 75 ct., z r. 1900 po 1 zł. można nabyć w naszej redakcyi. Na porto należy przysłać 12 ct.

Kto z prenumeratorów przyszle prenumeratę do końca roku bież. w kwocie 1 zł. 38 ct. i 12 ct. na porto, otrzyma zupełnie bezpłatnie rocznik „Promienia“ z 1900 r. (bez nru 1. i 11.)

TREŚĆ:

Odpowiedzialny redaktor i wydawca: **Kachnikiewicz Janusz Stanisław.**

„Drukarnia Udziałowa“, Lwów, Lindego 8.